



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży z działem dla dzieci
I DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

W książkowym dodatku miesięcznym wychodzi obecnie: „Szkoła Krzemieniecka.”



Dzieci poznańskie.

Rys. Wodzinowskiego.

W szkołach początkowych w W. Ks. Poznańskim religię wykładają nauczyciele świeccy, niemcy i w języku niemieckim. niezrozumiałym dla dzieci polskich. Od kilku tygodni we wszystkich niemal tych szkołach dziatwa polska odmówiła nauki religii w obcym dla siebie języku i nie przyjmuje katechizmów i modlitewników niemieckich, za co ulega srogim karom aresztu i bicia. Ks. Arcybiskup poznański, Stablewski, wydał uniwersał, wyjaśniający, że według zasad kościoła i słuszności — religia i pącierz winny być nauczane w języku cjęzy-

stym, to samo zdanie wyraża większość najwybitniejszych katolików niemieckich, ale władze szkolne pruskie nie chcą przywrócić języka polskiego i wciąż wymierzają kary, obecnie już opinia całego świata cywilizowanego jest poruszona tą sprawą i uznaje słuszność oporu dzielnej dziatwy polskiej.

Rycina nasza przedstawia bolesną chwilę, gdy młody uczeń pokazuje rodzicom rękę spuchniętą od razów, wymierzonych w szkole.

DZIECI POZNAŃSKIE.

Fragmenty z poezyi ostatniej doby.

I.

Na Wielkopolskiej dzielnicy obszarze,
Słońce krwawymi blaski smutno świeci —
I płaczą w męce biedne polskie dzieci:
Bo w obcej mowie dziś prusak im każe
Modlić się, uczyć ojców świętej wiary.

O, Panie, Panie! przed Twoje ołtarze,
Płyną serc jęki, znoszących katusze...
O, Chryste! który patrzysz w ludzkie dusze,
Coś dla nas cierpiał w miłości bezmiarze,
Spójrz na tych dzieci niewinnych ofiary.

Choć los ich taki bolesny i łzawy,
Że trudno nawet wyrazić to w słowie,
Poznańskie dzieci ufne w słuszność sprawy
Gotowe wytrwać choćby do mogiły.

Gdziekolwiek jesteś — o, polska młodzieży!
I możesz modlić się w ojczystej mowie,
Módl się do Boga polskimi pacierzy,
By tym ciepłym nie zabrakło siły...

Adam Lach Szymański.

✱ ✱ ✱

II.

W klasie prócz dziatwy nikogo więcej,
Wtem drzwi szarpnięto — i cnót wszechznawca,
Pedagog pruski — dał znak pacierza.
Cisza! — Znak wtóry! — Lecz milczą usta,
Zda się na moment czas zamarł w biegu;
Dzieciątka każde blade jak chusta.
Pedagog spojrzał — i pierwszą z brzegu
Dzieweczkę szarpie z dziatwy szeregu:
„Mów pacierz!” — krzyczy i sam zaczyna:
„Mów! *Vater unser*“ — milczy dziecina,

Po liczku jeno pereł sznur leci;
I nie ozwało się żadne z dzieci!
A chwila była takowej ciszy,
Że lodem w piersi oddech się ścina,
I krwi się w żyłach zda tętno słyszy.
Chwila — i prusak już gniewem dyszy,
Złowrogim świstem opada trzcina.
Już rączka dziecka opuchła, sina...
I oto w chłosty męczeńskiej wtór
Padł skargą zagnęła pacierzy chór:
„Ojcze nasz, któryś nad nami w niebie“
„Ojcze nasz“ mowy rodzimej dźwiękiem
Przeczystym, świętym, błagam Ciebie.

Adam Siedlecki.

✱ ✱ ✱

III.

Tam od Gniezna i od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy:
Prusak dzieci polskie męczył
Za ten pacierz w własnej mowie,
Co ją zdali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki,
Prusak męczy polskie dziatki!
Wstał na gnieździe orzeł biały,
Pióra mu się w blask rozwiały...
Gdzieś do Boga z skargą leci...
Prusak męczy polskie dzieci!
Zbudziły się prochy Piasta,
Powstał, berło mu urasta,
Skróń w koronie jasnej świeci,
O pójdz bronić polskie dzieci...

Jan Sawa.

Straszne dni w Baku.

Z dziennika młodej Polki.

(Ciąg dalszy.)

Na ulicach sprzedają różne łakocie perskie, ciastka, hały, kielbasy z zastygniętej galarety z orzechami w środku, suszone owoce, perskie figi, daktyle, różne śliwki i t. d. Świeżych owoców różnych także jest bardzo wiele: arbuzów, melonów, brzoskwiń, moreli, jakłęk, grusz, fig. Ale najtańsze i najlepsze są winogrona, które tu trwają niemal rok cały. Smak mają lepszy od naszych, o wiele soczystszy i słodszy.

8 października. Za tydzień będę chodziła do gimnazjum. Czekają mnie egzamina, wiele pracy i strachu, bo dotąd uczyłam się tylko prywatnie. Rodzice chcą, żebym zdała do 5-ej klasy. Mam już piętnaście lat. Chcę więc w moim dzienniczku opisać obszerniej osobliwości Baku, bo później mało będę miała czasu

i zapisywać będę tylko ważniejsze w moim życiu wrażenia i wypadki.

Zacząłam już opisywać produkty miejscowe, więc dokończę wzmianką o tutejszym bazarze, t. j. targu. Targi tutejsze są cały dzień otwarte. Sprzedają tam wszelkie artykuły żywności, galanterię, ubrania, stare meble, dywany i różne drobiazgi. Są niektóre przedmioty w hurtownej sprzedaży mało u nas rozpowszechnione: worki z szafranem, z watą, jedwabiem surowym nieprzędzonym, sierścią wielbłądzą, tłuszczem baranim i rybim.

Z ryb najpospolitsze są szczupaki, sandacze, karpie złote, leszcze, liny, wobły, śledzie pospolite, kilki. Łososie, jesiotry, jesiotry gwiazdziste (szamajki), stokfisz należą do ryb droższych. Tańsze produkta: owoce, warzywa, gorsze ryby, jaja ambali roznoszą po domach. Galanterję, materye noszą po domach kazańscy tatarzy. Dość drogie jest tu mleko, gdyż szklanka kosztuje 10 groszy. Materiały są tu bardzo piękne, niedrogie i wielka ich różnaitość.

15 października. Jutro już pójdę do gimnazjum. Zdałam egzamin do 5-ej klasy. Dziś byłam w kościele i u spowiedzi na uproszenie u Boga powodzenia w nauce. Kościółek tutejszy, raczej kaplica, jest dość miły i czystutki, tylko więcej przypomina ewangelicki kościół niż nasz. Ksiądz choć gruzin, ale dobrze mówi po polsku i sympatyczny. Dawał mi takie piękne i wzruszające nauki, aż się spłakałam.

Trzeci już dzień chodzę do gimnazjum. Trudno mi trochę z językiem rosyjskim, który znam gorzej od moich kolegów. W innych przedmiotach nie jestem mniej posunięta, a nawet w niektórych, na przykład w naukach przyrodniczych, umiem więcej niż one.

Wśród uczennic najmniej zdolne i najmniej rozwinięte są ormianki. Dziwna rzecz, że ormianie, choć z pozoru tak podobni do izraelitów, nie posiadają ich zdolności do nauk.

Oprócz patryotyzmu narodowego istnieje w Baku jeszcze pewien rodzaj patryotyzmu „części świata”: europejskiego i azjatyckiego. Naturalnie z pierwszej kategorii najwięcej w Baku jest Rosjan, to też gimnazjum nasze najwięcej liczy Rosjanek, dalej kilka Niemek i Polek. Z niemi rozumiemy się i naogół zgadzamy. Z ormiankami stosunki bywają trudniejsze: są jakoś nieufne, trzymają się oddzielnie, a bogatsze wśród nich odznaczają się dumą i wyniosłością. Ta różnica ras odbija się i na stosunku z nauczycielami.

Tu Rosjanki i Polki wydają się sobie bezporównania mniej obcemi, niż w Polsce, a prawdopodobnie i w Rosyi. Nie lubię tylko, jak mnie nazywają czasem „polaczką” zamiast „polką”.

Dzisiaj spotkałam Jadwisię Skrzypkowską. Jest w 6-ej klasie. Zapraszała do siebie i obiecała być u nas.

10 listopada. Tak wszyscy tęsknimy za ogrodem i roślinnością, że rodzice chcą nam około domu urządzić ogródek, chociaż bardzo trudno hodować tu rośliny. Ziemia na podwórku twarda jak skała i nierówna. Nie można jej skopać łopatą, trzeba rąbać kilofem i wywozić, a na to miejsce przywozić ziemię z pola.

Przyjechał do nas ogrodnik z Czarnego Miasta z ogrodu Nobla, zwanego Petroleum, i dał rodzicom rozmaite wskazówki. Założenie ogrodu w Baku jest rzeczą uciążliwą i kosztowną.

Tatusz ma ochotę założyć ogród kwiatowy, mama zaś owocowy. Ja w ogóle cieszę się ogromnie, że będziemy mieli jaki taki ogród, bez którego bardzo mi smutno.

W polu zieleni się jęczmień, ale tylko w dolinach. W maju sprzątają go i wówczas pole zalega pustką.

I w ogrodzie miejskim roślinność jakaś suchotnicza, zarówno, jak na obu skwerach miejskich, tylko akacje na ulicach rosną nieźle.

12 listopada. Dziś zostałam w domu z powodu silnego „nordu”. Owe „nordy” to istna plaga Baku. Nazywają tem mianem wiatry północne tak straszne i gwałtowne, że dorównują huraganom. Wieją głównie w lecie i w zimie, unosząc tumany piasku, zasypując oczy i usta, tak że patrzeć trudno.

Na ulicę wychodzi wówczas ten, co musi, i w konserwach na oczach. Nordy takie trwają po trzy dni, a czasami i po dwa tygodnie.

A mieliśmy tu dotychczas bardzo ładną pogodę, późna jesień bowiem jest w Baku najmiłszą porą roku. Zwolennicy tego miasta, wśród których jest wielu Polaków, dowodzą, że tutejszy klimat zdrowszy od naszego, bo niema tyle deszczów i wilgoci.

Twierdzą, że mało tu suchotników i reumatyków. My jednak nie możemy w to uwierzyć, bo przecież tak wielkie upały i wiatry z kurzem nie mogą służyć zdrowiu. Sami czujemy po sobie, że jesteśmy tu słabi; szczególnie mama i nasi chłopcy pomizernieli bardzo. Najwięcej boimy się wszyscy febry kaukazkiej, gdyż trudno się z niej wyleczyć.

Mama też nie pozwala nam tutaj tak się hartować, jak w kraju. Rzeczywiście klimat tutejszy jest niebezpieczny, szczególnie dla nieprzyzwyczajonych, bo nader, że tak powiem, kapryśny: w ciągu dnia bywa po kilka zmian, podczas najpiękniejszej pogody zrywa się często szalony wiatr z kurzem. Wprawdzie dzieci perskie biedniejszej klasy w ciągu zimy ubierają się bardzo lekko, tak jak latem, ale oni przywykli już do tutejszego klimatu, zrosli się z nim od kilku pokoleń.

24 grudnia. Z powodu braku czasu nie pisałam dziennika przeszło miesiąc, ale czas upływał nam jednostajnie. Aż oto nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. W Polsce dawno już ją obchodzono, bo przed 13-stu dniami. Rodzice urządzili nam piękną choinkę. I tu istnieje także zwyczaj urządzania choinek, naturalnie w rodzinach chrześcijańskich europejskich, i w tym celu na *parapecie* (placu przed kościołem ormiańskim) sprzedają mnóstwo jodeł i świerków.

Smutno nam dziś ogromnie przeszła ta wieczera Wigilijna. Mnie już od rana na wspomnienie wesołej gwiazdki w Olewinie w gronie siostr i braci ciotecznych, przy kochanej babci, która nam zawsze dawała tyle ślicznych rzeczy, a także na wspomnienie św. Józefa w szopce, którym bywał zawsze Tomasz ogrodnik,

łyżki stawały w oczach, i jak mogłam dławiałam płacz w sobie. Tak mi żal mamusi, bo tęskni ogromnie za babcią, krajem, Olewinem... To też, gdy spojrzę czasem na mamusię, że tak zmizerniała, tak posmutniała, uciekam w jakiś kącik, żeby nikt nie widział, i serdecznie płaczę. Ale dzisiaj przy wieczerzy nie mogliśmy się dłużej ukrywać przed sobą. Tęsknota, żal i smutek, które każde z nas oddawna ukrywało w sobie, wybuchnęły z całą siłą. Ja dałam pierwszą poczetkę: kiedy w czasie łamania się z rodzicami opłatkami spojrzałam na pierwsze miejsce przy stole, gdzie siadywała ukochana babunia, kiedy przypominałam sobie, że zamiast wesołych śmiechów, okrzyków i kolend, wiatr tujejszy wygrywa nam tęskne melodye obczyzny, zamiast słów z życzeniami rzuciłam się mamusi na szyję i serdecznie zapłakałyśmy obie. Tatusz był też wzruszony, ale panował nad sobą i pocieszał nas, mówiąc:

— Nie płaczcie, nie długo tu będziemy, pracuję jak mogę najusilniej i oszczędzam, aby mój jak najprędzej wrócić do kraju, sądząc, że za półtora roku powrócimy.

25 *grudnia*. Przed chwilą wróciłam z kościoła. Jacy tu inni ludzie! Jak nawet ci sami polacy wydają się tu różni niż w kraju. Może coprawda ludzie na wsi lepsi bywają na ogół niż w miastach, pobożniejsi i szczerzy. Tutaj w nabożeństwie nawet przebija obojętność i oziębłość. Niema tego żaru modlitwy, tej pokory, wiary i ufności, z jaką ludzie w kościołach wiejskich, w czasie wielkich świąt szczególnie, toną w modlitwie, jakby duszę Bogu oddawali. Tutaj niema właściwie kościoła, tylko wielka kaplica. Niema ani tej uroczystej powagi wspaniałych świątyń, ani tej serdecznej swojskiej prostoty skromnych kościołków wiejskich. Dziś po obiedzie pojedziemy do stryjostwa. Z miasta jedzie się do stryjostwa tramwajem. Cieszę się bardzo na tę wizytę. Rozweselimy się trochę. Henia, Miecio i Franio tacy zawsze serdeczni dla nas i gościnni. Cenią nas jako krewnych, a nie mają żadnych bliższych stosunków z innymi dziećmi. W Baku trudno zawiązuje się stosunki wśród dorosłych i wśród młodzieży.

9 *stycznia*. Co za straszne chwile przeżywamy dzisiaj! Rano, gdyśmy się tylko obudzili, wbiegła do nas służąca nasza Sasza, mówiąc, że tatarzy zabili młodego Wołkowa, brata szwaczki, która u nas zwykle żyła. Żal nam się zrobiło tego młodego człowieka, ale nie przywiązywaliśmy do tego zabójstwa większego znaczenia.

Tatarzy, jak w ogóle mahometanie, są ludźmi mściwymi, życia człowieka nie cenią i nieraz za drobną urazę śmierć zadają.

Sądziliśmy więc, że to zabójstwo jest zwykłym objawem ich mściwości, które rubryka wypadków w gazetach codziennie prawie podaje. Ale wkrótce usłyszeliśmy ciągle strzały, a wyjrawszy na ulicę, zobaczyliśmy dzikie, z wyrazem rozwścieczonych drapieżnych zwierząt, gromadki persów, uzbrojonych w fuzje (berdanki) i rewolwery.

Na ulicy jakiś niepokój, nie widać żadnego europejczyka, tylko na rogach ulic tatarzy, czyhający, a po ulicach snują się szeregi, jadących na koniach i osłach, wszyscy uzbrojeni. Na twarzach ich jakaś rozszalała złość i dzikość.

— Co to wszystko znaczy? — spytał tatusz przechodzącego mołokanina (sekcjarze rosyjscy, zesłani na Kaukaz).

— To persi różną ormian — odpowiedział. — Bójka zaczęła się na *parapecie* od tego, że jakiś ormianin zabił bogatego persę Babajewa, który szczerze rozdawał biednym. Persi rzucili się na ormianina, ormianie bronili go, i w całym mieście zawrzała straszna walka. Persi czatują na ulicach na ormian, jak na zwierzynę, i zabijają mężczyzn, dzieci, kobiety!

(d. c. n.)

WŁ. UMSKI.

O SŁOŃCU.

(Dokończenie.)

VIII. Przyszłość słońca.

Czy jednak słońce będzie zawsze tak świeciło i grzało, jak grzeje obecnie? Czy nie ostygnie z czasem, tak jak stygnie każde gorące ciało, umieszczone w zimnej przestrzeni?

Że słońce musi koniec końców utracić swoją dziś tak bardzo wysoką temperaturę, to nie podlega żadnej wątpliwości. Nie należy jednak przypuszczać, żeby to miało nastąpić za kilkanaście, albo nawet za kilkadziesiąt tysięcy lat. Pamiętajmy, że w przeciągu ostatnich paru tysięcy lat, klimat naszej części świata nie stał się chłodniejszym, co by napewno dało się zauważyć chociażby ze zniknięcia pewnych gatunków drzew i roślin. Ale i dziś dojrzewają tutaj te same owoce. co przed dwoma tysiącami lat, stąd wniosek że przez tak dla ludzkości znaczny przeciąg czasu temperatura słońca wcale się nie zniżyła, przynajmniej dostrzegalnie. Ileż więc należałoby lat czekać, żeby słońce ostygło o parę stopni? Kilkadziesiąt tysięcy; a na to żeby pokryło się skorupą tak jak nasza ziemia, nie starczy i miliona lat.

Możemy więc być spokojni; słońce przez długi ciąg wieków będzie darzyło ziemię ciepłem i światłem. Przyjdzie zapewne kiedyś fatalna chwila, w której nasza gwiazda zagaśnie, a wtedy biada ziemi! Jej ciepło wewnętrzne nie wystarczy na podtrzymanie życia na powierzchni, wraz z zagaśnięciem słońca, zniknie na naszym planecie roślinność, a z nią istoty żyjące. Słońce będzie przybierało coraz bardziej żółte zabarwienie, stanie się jasno pomarańczowem, potem jasno czerwonom, w końcu czerwonom aż nareszcie zgaśnie zupełnie, pograżając w ciemnościach korowód planet. Taki los czeka nie tylko nasze słońce, ale i te wszystkie gwiazdy, które błyszczą nam z dala, jako srebrne punkciki na niebiosach, wszystkie one ze słońc potężnych zamienią się na ciemne bryły, których i dziś musi się sporo błakać po przestrzeniach. Takie ciemne bryły dopóty są dla nas niewidzialne, dopóki jakieś starcie z inną równie ciemną i zimną bryłą nie zamieni ich na gorące rozpalone słońce. Uderzenie dwóch potężnych mas biegnących ze straszną szybkością w przepaściach niebieskich, zupełnie wystarcza, żeby je nie tylko stopić, ale nawet zamienić w parę. (Fig. 5).

Że takie są koleje gwiazd, świadczą o tem spostrzeżenia, jakich można dokonać na niebie. Znajdują się tam obok słońc młodych, jasno białych, a nawet fioletowych, słońca jasno żółte, takie jak nasze—ciemno żółte, aż do czerwonych, które są gasnącemi gwiazdami, starami, kończącemi swoje słoneczne istnienie; zamieniającemi się na planetę, która podobnie jak nasza ziemia krążyć będzie dokoła innej większej od siebie bryły.

Obserwując plamy, przekonano się, że i nasze słońce posiada ruch dokoła swojej osi. Zauważył to już Galileusz w r. 1611. Plamy przenoszą się powoli po tarczy słonecznej od wschodu na zachód i znikają, przebiegłszy całą tarczę, po 14 dniach na skraju zachodnim, ażeby po następnych dwóch tygodniach ukazać się znowu na skraju wschodnim. Dowodzi to, że kula słoneczna potrzebuje 28 ziemskich dni, żeby dokonać jednego całkowitego obrotu dokoła swojej osi. Średnio, jak obliczono, czas ten wynosi 27 dni, ale jeżeli wziąć pod uwagę, że skutkiem obrotu ziemi dokoła słońca gonimy plamy, przeto widać je jeszcze przez półtrzecia dnia od chwili, kiedy powinny były zniknąć po zachodnim skraju tarczy słonecznej. Odrącawszy zatem ten czas, otrzymujemy, że obrót słońca dokoła osi trwa 25 i pół dnia ziemskiego.

Co jednak dziwnego, to że słońce nie obraca się całe równocześnie tak jak ziemia dokoła swojej osi; na równiku obrót jest najszybszy a ku biegunom wolniej. W połowie odle-

głości biegunów od równika trwa on już 28 dni. Gdyby nie to, że plamy ukazują się zawsze w okolicach przyległych równikowi, to można by obliczyć, ile czasu potrzebują podbiegunowe okolice słońca na wykonanie całkowitego obrotu dokoła osi. Zapewne trwa on jeszcze dłużej, aniżeli 28 dni.

Gdyby słońce było tak jak ziemia twardą bryłą, to zjawisko takie nie mogłoby mieć miejsca. Ten fakt dowodzi także gazowej natury kuli słonecznej.

Czy słońce, oprócz ruchu obrotowego, posiada także ruch postępowy w przestrzeni?

Możnaby się tego z góry domyślać; wiadomo bowiem, że w przestrzeni nie masz spoczynku, że wszystkie ciała niebieskie wirują w otchłaniach, przyczem mniejsze bryły ulegają sile przyciągającej większych, te z kolei krążą dokoła jeszcze większych i tak dalej.

Jeżeli gwiazdy wydają się nam, z wyjątkiem planet, — najbliższych nam ciał niebieskich — nieruchome, jestto złudzenie, będące następstwem olbrzymich odległości, dzielących ziemię od nich.

Dość powiedzieć, że światło potrzebuje aż trzech lat, żeby przylecieć do nas od najbliższej gwiazdy stałej! A większość gwiazd znajduje się od nas o setki lat biegu światła, ba nawet o tysiące!

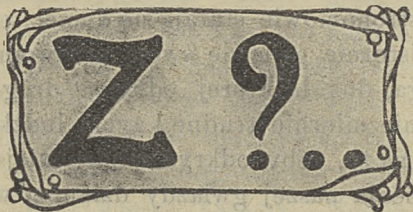
Astronomowie starają się dociec, czy słońce ma istotnie gwiazdę swoją przewodnią, której ulega, dokoła której odbywa drogę. Badania to niezmiernie trudne i życia ludzkiego nie starczy na to, żeby odkryć najdrobniejszą zmianę położenia naszej gwiazdy dziennej w stosunku do odleglejszych gwiazd. A jednak można się domyślać, że nasze słońce krąży dokoła jednej z gwiazd, należącej do gwiazdozbioru Herkulesa. Gwiazda ta jest tak daleką, że jeśli słońce nasze w samej rzeczy dokoła niej się obraca, to potrzebuje wielu milionów lat, żeby dokonać chociażby jednego całkowitego obrotu.

Widzicie więc, że nasze wiadomości o słońcu, chociaż już bardzo poważne, zawierają jeszcze liczne i rażące braki. To jednak, czegośmy się dowiedzieli napewno—jest już niemałą zdobyczą, z której słusznie możemy być dumni.

Przecież odmierzyliśmy dokładnie odległość gwiazdy dziennej, potrafiłszy ją nawet samą zmierzyć i zważyć! Ba, zbadaliśmy, z czego się ona składa, określiliśmy jakie metale, jakie gazy znajdują się w tem wiecznie wzburzonym i płonącym ognisku! Umiemy je, pomimo oślepiającej jasności, oglądać o każdej porze dnia i fotografować. Ma ono jeszcze dla nas tajemnice, lecz pamiętajmy o potędze wiedzy, i ufajmy, że genjusz ludzki wydrze je w końcu naturze.



Fig. 5. Jak przypuszczalnie wygląda może zetknięcie się dwóch ciał niebieskich, np. ziemi z kometą podług rysunku astronoma francuskiego Flammariona.



(Ciąg dalszy.)

Jaskinia zbójców w Ville d'Avray. — Ewelina na tropie.

Miss Edyta i Ewelina wsiadły do pociągu, idącego w stronę Ville d'Avray.

Na uwagi nauczycielki panienka odpowiadała, jakby przekonana:

— Tak, tak, ma pani słusność, rewolwer niepotrzebny, zwrócę się do policji.

W wewnętrznej jednak kieszeni jej futra tkwił świetny rewolwer automatyczny, dający dwanaście strzałów z rzędu, i nadzwyczaj celny.

Całą drogę Ewelina śmiała się, wyspiewywała wesołe piosenki.

Na przystanku Sèvres Ville d'Avray wsiadły.

— Odrzuć do biura policyjnego? — spytała miss Edyta.

— Nie... chciałabym najpierw dom obejrzeć.

— Myślisz, że go odnajdziesz?

— Mam nadzieję...

Wille i domki rozrzucone były na znacznej przestrzeni i ginęły prawie w ogrodach, z których poplątane ścieżyny wybiegały ku głównej drodze. Ewelina z twarzą boleśnie ściągniętą od natężonej uwagi, zagłębiała się po kolei w nieznane ścieżki, badając grunt...

Wreszcie zajęła się już tylko kilku wille. Niedaleko stamtąd jakaś starowina rozwieszała na sznurkach upraną bieliznę, która kołysała się zwolna za każdym powiewem wiatru.

— Przepraszam, gdzie mieszka doktor Schiller?

— Tam, panienko, w tym pięknym domu za złoconą kratą.

— Dziękuję.

Ewelinka zwróciła się do miss Edyty.

— Pójdę tam zajrzeć... a potem udamy się do policji... Poczekaj na mnie, staruszko moja!

Miss Edyta rozpoczęła z praczką długą jakąś rozmowę zabawnie wymawiając wyrazy francuskie, a Ewelina skierowała się ku wskazanemu domowi. W kieszeni futra czuła płaski, ciężki rewolwer, w którym pokładała teraz ogromną nadzieję. Kilka dni temu trafiała o 50 metrów do wron, a 100 przeszło do pni drzew. Teraz miała zamiar najpierw zadzwonić i zawołać Henryka—a potem, kto wie? może nawet użyć swej broni...

Zdziwiłaby się bardzo, gdyby jej powiedziano, że tu, we Francji był to zbyt śmiały zamiar!



Henryk przykrępowany do żelaznego kółka tkwiącego w murze. (p. str. 548)



Obraz St. Bagieskiego.

Z rozkazem wodza.

Zawód. — Ewelina nie daje za wygraną.

Dom otoczony był wysokim murem, niższym wszakże od falujących nad nim wierzchołków drzew. Ewelina poszła wzdłuż muru.

Doszedłszy do bramy żelaznej przygotowała broń...

Wszystkie okienice były zamknięte; w ciszy rozlegał się tylko świegot wróbli. Ewelina pociągnęła za sznur wielkiego dzwonu, który dźwięknął rozgłośnie. Nie było jednak na to żadnej odpowiedzi. Zadzwoiła raz jeszcze i raz jeszcze dźwięki dzwonu skonały w ciszy.

Brama była otwarta. Ewelina weszła, wołając głośno, kilkakrotnie: „Henryku!... Henryku!...”

Cisza trwała jednak w dalszym ciągu, przerywana tylko świegotem wróbli...

Ewelina otworzyła okienicę. Przez szyby widać było salon. Na parapecie okna leżał jakiś klucz, spróbowała otworzyć nim drzwi, co jej się odrazu udało. Następnie zawołała raz jeszcze Henryka. Nikt nie odpowiedział. Zwiedziła cały parter, pierwsze piętro, potem drugie; w willi, urządzonej kosztownie, nie było nikogo.

Zeszła na dół i spytała przechodzącego listonosza, gdzieby mógł być dr. Schiller, nadmieniając, że jest jego krewną.

— Pan Schiller, ten stary Niemiec? Wyjechał dziś rano... z czterema przyjaciółmi, samochodem w kierunku Versailles'u... Widziałem, jak wyjeżdżali... Muszą już nawet być daleko, jeśli ciągle pędzą z równą szybkością.

— Ach, napróżno chodziłam... Dziękuję panu.

— Nie ma za co, proszę pani.
I listonosz poszedł dalej.

Wyraz twarzy Eweliny nie zmienił się, tylko usta jej drżały, jakby z zimna lub gorączki.

Odnalazła miss Edytę i poprosiła, żeby na nią nie czekała dłużej.

— Ależ Ewelino, ja nie mogę...

— Niech pani śpieszy na pociąg... położenie jest naprawdę groźne. Tu idzie o życie ludzkie!

— Ale...

— Zauważ, że zostawiono klucz na oknie, ktoś ma przyjść. Będę czekała na tego „ktosia“.

Ewelina uzyskała, wskutek swej niesłychanej przenikliwości, taką przewagą nad nauczycielką, że ta godziła się już teraz na wszelkie wybryki, nie opierając się też dłużej—odjechała.

Młoda Amerykanka wróciła do willi, przemykając się ostrożnie, żeby jej nikt nie zobaczył. Zamknęła drzwi i położyła klucz na pa-

rapecie okna salonu, za zamkniętą okienicą, tak jak leżał przedtem.

Poczem zasiadła w fotelu w pozie oczekującej...

Badanie Henryka. — Niezbędne wyjaśnienia.

Księżyc w pełni zalewał wybrzeże potokami światła. Światło jakieś zaświatowe, niebieskawe, zimne kładło się szeroko na lotnych piaskach nadmorskich. Sam księżyc, nieruchomy i prawie oślepiający, wydawał się bryłą lodu, zamarzłem słońcem w ostatniej epoce świata. Tu i owdzie czuwały nad morzem zapomniane budki kąpielowe, podwojone przez własne, równoległe cienie, dalej czerniało kilka starych, niezdolnych już do użytku statków. Każdy błysk latarni morskiej oświeślał pieniste długie fale nadchodzącego przypływu...

W dali błyskały dachy wioski, skupione około kościoła.

Na jednym ze wzgórz wybrzeża znajdował się olbrzymi czworokątny budynek, otoczony ogrodem i wysokim murem i błyskający rzędem oświetlonych okien na trzecim piętrze.

Niedawno właśnie przed dom ów zjechał automobil, a rybacy, wracający z pobliskiego miasteczka, udzielali sobie wzajemnie wiadomości drwiącym trochę tonem:

— Patrz, ten Anglik wrócił! Nie bój się—mądry!

Niemiec z Ville d'Avray był tu znany w swej prawdziwej postaci.

W wielkiej hali, oświetlonej wysoko wiszącymi lampami, Henryk blady i zmieniony stał przykrępowany do żelaznego kółka, tkwiącego w murze.

Otaczało go pięciu ludzi, którzy robili mu gwałtowne wyrzuty, grozili zaciśniętymi pięściami, zasypywali gradem wymysłów.

— Cicho!... siadajcie wszyscy!—przemówił naraz krzepki, wyglądający na uczonego staruszek, z twarzą ogoloną, w złotych okularach za którymi żywe oczy biegały niespokojnie... Ja sam wybadam pana Iwickiego. Temu miłemu młodzieńcowi należy się od nas więcej względów.

Pomimo uśmiechu z jakim te słowa były wymówione, powiało chłodem od zawartej w nich ironii.

— Ceremonie jakieś z tym ptaszkiem? Oh, panie Mac Zidley! No, no!...—odezwał się jakiś młodzik z twarzą bladą, bez zarostu, z czołem obwiązane zakrwawioną szmatą.

— Cicho bądź!—krzyknął czterdziestoletni, siwiejący już mężczyzna.

— Dobrze, panie Vernier... będę cicho... Ale „ten” każdego z nas uczył...

W rzeczy samej na twarzy byłego rejen-ta widniał olbrzymi siniak. Briello, malarz Włoch, typ trochę żołnierski, miał rękę obandażowaną między dwiema deseczkami, jak się zdawało, cierpiał bardzo; chwilami nawet jęczał...

Piąty — był to Harry Strong, pułkownik amerykański, tak stanowczo „zatrzymany” przez Henryka na drodze do Guilneck.

Domysły Eweliny były więc słuszne. Nie wiedziała tylko, że zwycięstwo tak drogo zostało okupione przez zwycięzców.

(d. c. n.)



Dwóch uczonych.

Nauka i literatura polska utraciły tej josiieni dwóch uczonych niepośledniej miary. Czytelnicy „Wieczorów Rodzinnych” powinni znać ich nazwiska i działalność, tembardziej, że w późniejszych studyach nad historią, prawem i literaturą będą musieli zapoznać się z ich pracami.

Pierwszym z nich był ś. p. **Aleksander Rembowski**, historyk i publicysta, autor wielu dzieł z historii urządzeń prawnych i wojskowości polskiej, z których najważniejszymi są: „Konfederacja i rokosz w dawnym prawie państwowem polskiem” i „Historia pułku szwoleżerów”.

Rembowski urodził się w 1847 r. w Kałiskiem i był doktorem uniwersyteckiego. Hejdelberskiego. Przebywał stale w Warszawie.

Wszechstronniejszym i jeszcze wybitniejszym umysłem był ś. p. **Włodzimierz Spasowicz**.

Urodzony w r. 1829 w Rzeczy w gub. Mińskiej, ukończył uniwersytet petersburski jako doktor praw i tam objął katedrę prawa karnego, którą, z powodu zbyt liberalnych przekonań, musiał opuścić w r. 1864 i poświęcił się adwokaturze.

W tym zawodzie pozyskał pierwszorzędną sławę w całej Rosyi. Czując się jednak polakiem, pracował aż do ostatnich chwil swego życia nad historią literatury polskiej i krytyką współczesnych jej prądów.

W dziedzinie polityki pragnął usilnie zbliżenia się i pogodzenia narodu polskiego i rosyjskiego.

TERESA JADWIGA.

AULUS MARCUS.

POWIEŚĆ Z CZASÓW AUGUSTA.

(Ciąg dalszy.)

Pogrążeni w myślach powracali Perikles z Aulusem do siebie: w oczach Periklesa malował się cichy smutek, pątrzał w pogodnie rozpostarte nad sobą niebiosa i pytał:

— Kiedy ludzie zrozumieją przykazanie Boskie: „Będziesz miłował Pana Boga swojego nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego”.

Żrenice Aulusa gorzały, a twarz miał purpurową.

— Nienawidzę Heroda — odezwał się naraz — mam wielką ochotę powrócić do pałacu i za-bić go; żałuję, że tego nie uczynię; biada mu, gdy spotkamy się poraz pierwszy.

— Jeszcze poganin często odzywa się przez ciebie, badaj naukę Esseńczyków — odparł łagodnie Perikles.

I chciał dalej mówić, lecz gromada ludzi, która wysunęła się nagle z bocznej ulicy, zatrzymała ich i spłoszyła mu słowa z ust.

Składali ją przeważnie mężczyźni: młodzi i starzy, było wszakże kilka kobiet

Gromada ta szła za kimś. Suknia jego była uboga, a przecież coś niezwykłego uderzyło Aulusa od tej postaci. W spojrzeniu jego była taka siła, iż uczuł się małym wobec niego; na ustach taka dobroć, iż miał ochotę paść do jego nóg i wołać:

— Zabierz złość, którą dyszy w tej chwili moje serce i wlej w nie dobroć, którą cały jaśniejesz.

Na czole jego taki rozum królował, iż chociaż nie wiedział kim jest, mówił jednak do siebie:

— Cokolwiekby Ten kazał mi uczynić, uczyniłbym bez wahania.

Więc zdjęła go ciekawość: kto on jest? i gdzie dąży? Przysunął się do najmłodszego z gromady i zapytał.

— Kim jest Ten, który was wiezie i dokąd?

— To Rabbi, syn Maryi z Nazaretu, idziemy do świątyni słuchać jego nauki — odparł zaczepiony.

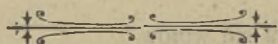
— Chodźmy za nim — szepnął Aulus do nauczyciela.

— Chodźmy — odparł Perikles.

I podążyli za gromadką, lecz coraz więcej ludzi napływało i odpychali ich coraz dalej.

Dotarli jednak w końcu do krążganków świątyni i stanęli na uboczu.

Młody Rabbi, dla którego tutaj przyszli, stał naprzeciw nich na wzniesieniu i nauczał. Dokoła



panowała cisza uroczysta; słodki i melodyjny, a jednak dziwnie silny głos Syna Maryi z Nazaretu brzmiał wyraźnie.

Aulus skupił myśli i począł uważnie słuchać, zrazu zdziwiły go słowa pełne prostoty, jakie usłyszał.

— I cóż ich tak zachwyca — pomyślał.

Lecz niebawem i w jego oczach wzruszenie malować się zaczęło i on pochylił czoło z uznaniem.

— Azaliż On nie mędrszy od wszystkich mędrców, których dotychczasem słyszałem — rzekł sam do siebie.

Młody Rabbi wodził wielkimi niebieskimi oczyma po nich i słowa swoje jakby prosto do nich kierował. I znowu zarzucał im obłudę i przewrotność. Nie szczędził przygan i wszystkie miejsca Pisma przeciw nim obracał.

„Chlubicie się pobożnością waszą, jak gdyby Pan na niebiosach siedzący był ślepy i w sercach waszych nie czytał. Pobożność wasza jest kiwaniem głów, ale z serc waszych wypęczają węże i bliźnim waszym zadają jadowite ukąszenia...

„Chlubicie się, że otwieracie ramiona na przyjście proroków, że żyjąc za dni ojców waszych, nie bylibyście wzięli udziału w przelaniu krwi sprawiedliwych.

„Rodzie jaszczurczy! Popatrz na postęпки swoje i wejrzyj w głąb serca swego, przepełnionego nieprawościami: żdźbła szukasz w oku bliźniego i siedmdziesięciu ustami sądzisz go, ale gdy prorok ujrzy belkę w twem oku i zgani cię, podburzasz pospółstwo i podajesz mu kamień do ręki, aby tego proroka z drogi twojej usunął.“

„Słyszeliście iż rzeczono: oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, i dusza za duszę. A karany miał być nietylko człowiek, który w złości uderzył, ale i wół, który w zaślepieniu swem ubódl. Wszelako, gdy na wicher porwie się wicher drugi, zali się burza nie zwiększy? Albo, jeżeli zaciekle człowiek na równie zacieklego ruszy, zali od tego będzie spokojność społeczności i dochowanie przykazań. Rzeczono: ząb za ząb, ale ja wam powiadam: odpuszczajcie winy nieprzyjaciołom waszym, kochajcie tych, którzy was prześladują, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.“

Perikles położył dłoń na ramieniu Aulusa

— Słyszałeś? — zapytał cicho.

— Słyszałem — odpowiedział tamten równie zeptem.

Odeszli od świątyni obaj silnie wzruszeni. Szli razem w milczeniu; pierwszy przerwał je Aulus.

— Przyszły mi na pamięć słowa niegdyś przez ciebie, mistrzu, do mnie napisane — odezwa się zamyślonym tonem.

— Jakie? — spytał Perikles.

— Zaiste, dziwna jest ta ziemia, która takich ludzi wydaje — odparł Aulus — lecz ja dodam jeszcze: jednocześnie tak świętych i szlachetnych, jak Jan, syn Zacharyasza, i ten oto prorok, Jezus z Nazaretu, a zarazem tak potwornych, zepsutych i okrutnych, jak Herod i żona jego.

— Czy zechcesz jeszcze pomścić śmierć Jana? — zapytał Perikles.

— Jeżeli popełnionem zostało jedno zaborstwo, zali już nie ma nieszczęścia — odparł w myśl usłyszanej nauki Aulus.

Perikles spojrział na niego z radością.

— Uwierzyłeś w Niego — rzekł.

— Pójdę za Nim — szepnął Aulus, wzrok ku jasnym obłokom podnosząc.

X. Spełniło się.

Aulus zostawił w Rzymie kilku serdecznych przyjaciół, którzy donosili mu, co się dzieje w stolicy i na dworze cezara.

Pewnego dnia otrzymał dłuższy list od Tytusa Flawiusza, który choć godził się na zmianę dawnego ustroju rzeczpospolitej rzymskiej, wprowadzoną przez Oktawiusza, surowo sądził wybryki drugiego z kolei imperatora.

„Aulusowi Marcusowi pozdrowienie — pisał. — Gdybym uważał wylewanie łez za godne patrycyusza rzymskiego, rzekłbym ci: zapłacz Aulusie, Germanikus nie żyje! Oto już na polach Elizejskich duch jego przebywa. Przywieziono tę wieść ponurą cesarowi onegdaj. Pizon doniósł w krótkich słowach, że pogromca Germanów umarł nagle; lecz legioniści, towarzyszący gońcowi, opowiadają pocichu rzeczy stokroć straszniejsze. Pono Parki przecięły nić jego żywota nie ze zwykłej rzeczy ziemskich kolei, lecz to Pizon trucizną śmierć mu zadał. Rzym przejęty oburzeniem; ze zgonem Germanikusa zgasły wszystkie nasze nadzieje, Aulusie; to miasto chyba runie wkrótce...

„Pomimo obawy cezara i jego obecnego ulubieńca Sejana, prefekta pretoryanów, na znak żałoby wielu mieszkańców pozamykało domy opuściło forum i sądy. Lud posadza Tyberyusza, iż otrucie Germanikusa stało się za jego przyzwoleniem; całą noc dzisiejszą kupiły się tłumy pospółstwa na Palatynie i wołały:

„Oddaj nam Germanikusa!“

„Chcąc rozdrażnionych uspokoić, cesarz kazał urządzić dzisiaj wspaniałe *centum bovum**) ku uczczeniu ulubieńca ludu w świątyni Jowisza.

*) Ofiara stu wołów.

Wyobraź sobie, że w chwili najuroczystszej z jakiegoś węgła rozległ się głos, drżący bólem i jękiem.

„Nie ma już Germanikusa, znikła nadzieja Rzymu!

„Zawtórowały tym wyrazom okrzyki, a niektórzy wołać poczęli.

„Biada trucieliom!

„Chodzą tu wieści, że już ktoś pomścił śmierć Germanikusa, że Pizon nie żyje.

„Źle się u nas dzieje Aulusie; wróc do stolicy; miałeś wpływ na cezara, śmiałeś mówić mu zawsze prawdę i teraz powiesz to, na co inni zdobyć się nie mogą.

„Otoczył się tłumem niecných donosicieli, którzy wyszukują tych, co o nim niechętnie się odzywają, a on ich poddaje karze za obrazę majestatu i konfiskuje majątki. Strach i chciwość popycha większość do najnikczemniejszych czynów: brat brata oskarża, a Tyberyusz szydzi z tego i mówi:

„O jakże ci ludzie dojrżeli do niewoli.

„Z każdym dniem staje się okrutniejszym i złośliwszym: nagradza i urzędami zaszczyca najwystępniejszych, a Sejan, który wprost na miano zbrodniarza zasługuje, posiada całe jego zaufanie, choć przeczuwam, że i tego pozbędzie się kiedyś.

„Rok temu umarł nagle jedyny syn cezara; opinia powszechna głośno wołała, że Sejan go usunął ze swej drogi, gdyż sam roi o władzy imperatora.

„Wracaj do nas Aulusie, to twój obowiązek; Roma, ta dawna Roma cię wzywa.“

Aulus westchnął ciężko i podał list Periklesowi.

— Co radzisz mi czynić? — zapytał.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Polka w Sorbonie. Po raz pierwszy na katedrę najwyższej uczelni paryskiej tego miasta, które nazywa siebie — *ville-lumière* (miasto-swiatła) wstąpiła kobieta, a kobietą tą jest nasza rodaczka, p. Marya Curie z domu Skłodowska, znakomita przyrodniczka i wynalazczyni radu.

Stosownie do zapowiedzi, wygłosiła pierwszy swój wykład d. 5 b. m. Zastrzegła sobie, aby ten jej wstęp w progi wszechnicy, w nowym charakterze, odbył się bez wszelkiej uroczystości. Stało się też według jej życzenia — nie było przemowy powitalnej, nie było przyjęcia przez grono profesorskie, tylko przepełniona aula, tłum osób, które daremnie tłoczyły się do drzwi fakultetu, oklaski, jakiemi wejście pani

Curie powitano, były hołdem wymownym, złożonym pierwszej „profesorce” uniwersytetu paryskiego.

Ubrana w prostą suknię czarną, bardzo wzruszona, bardzo blada, usiłująca widocznie zapanować nad sobą, weszła pani Curie do przepełnionej sali amfiteatralnej, zajęła miejsce za długim stołem, zastawionym przyrządami do doświadczeń. Między słuchaczami tego pierwszego wykładu naszej rodaczki, znajdowali się p. Appell, dziekan fakultetu nauk ścisłych, oraz liczni profesorowie; nie brakło też, oczywiście, i kobiet. Francuskie związki kobiece zamierzały ofiarować pani Curie złotą księgę dla upamiętnienia jej pierwszego wykładu, jako doniosłego faktu w dziejach ruchu kobiecego. Dowiedziawszy się o tem pani Curie prosiła, aby księgę złożyć w darze Sorbonie. Tak się też stało.

Jezioro rtęci. Niezwykłe wieści dochodzą z Meksyku. Oto w górach tamtejszych w prowincji Veracruz odkryto jezioro rtęci, zajmujące obszar przeszło trzech akrów, a na 10 do 50 stóp głębokie.

Akr — angielska miara powierzchni, nieco większa od merga polskiego.

Wartość rtęci, znajdującej się w tym jeziorze specjaliści obliczają na miliony rubli

Pierwszą wiadomość o tem odkryciu przyniósł do Meksyku górnik C. A. Bondi, który zachorował na zatrucie przy badaniach rozległości i głębokości jeziora. Wyleczywszy się, górnik ów przybył do Meksyku, gdzie potrafił zainteresować swem odkryciem bawiących chwilowo w przejeździe za interesami fabrykanta szwedzkiego F. Lagerwalla i kupca z Nowego Jorku J. B. Frelina.

Obaj przemysłowcy udali się z górnikiem na miejsce i stwierdzili istnienie tego jeziora, o którym indyanie miejscowi, jak się okazało następnie, wiedzieli od bardzo dawna.

Jezioro rtęciowe położone jest wysoko w górach w miejscowości prawie nieprzystępnej, powierzchnia jego pokryta jest gdzieniegdzie kamieniami.

Powstanie jeziora objaśniają działalnością wulkanu, skutkiem czego rtęć wydzieliła się z rudy i osiadła w nizinie.

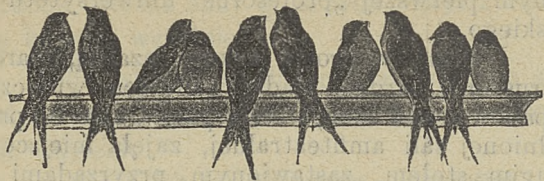
Wspomniani wyżej przemysłowcy postanowili rtęć jeziora spożytkować. W tym celu w górze ma być wywiercony tunel, przez który rtęć, jako metal płynny, sprowadzona będzie na dół do miejscowości, gdzie w odpowiednich zakładach będą ją oczyszczali i przysparzali do użytku praktycznego.



Młodym przyjaciółkom.

Przyjaźni, bądź błogosławiona —
Ty, jako oczy gwiazd świetlista,
I jako gwiazd promienie czysta,
I wierna, kiedy szczęście kona.

Z. Z.



Skrzynka do listów.

Prawda, że dawno nie pisałaś *„Czarnobrewa Ukrainko*, ale wynagrodziłaś długie milczenie listem, bo tyle dobrych zawiera wiadomości. Ucieszyłam się wyrozumiałością twego sądu o koleżance, która nie zna poezji Mickiewicza. Pewnie, że to bardzo smutne i słusznie ubolewasz nad nią, ale słusznie też tłumaczysz zaniechanie brakiem wpływu narodowego w wychowaniu domowym. Nie sztuka potępić, stokroć lepiej zachęcić, rozgrzać serce, obudzić miłość do ojczystej historii i literatury. Niech Bóg błogosławi twoim usiłowaniom *Czarnobrewo* kochana. Toż generał Henryk Dąbrowski, bohater legionów, w niemieckim chował się otoczeniu, a przecież echo jego czynów po dziś dzień budzi otuchę w sercach polskich. O *Niedźwiedziu* nie mam dotąd żadnych wiadomości, pewnie o nas zapomniał.

Dziękuję *Paskudny Dzieciaku* za uściśnienia, na które odpowiadam serdecznym przytuleniem do serca tego Dzieciaka, który stosownie do moich prośb «uderzył w strunę drugą, w czynów stal», uczy małców w szkole Macierzy i przygotowuje się do matury. Zuch jest mój *Dzieciak* niech tylko dotrzyma słowa i napisze obszernie a wyraźnie.

«Zagarnął wicher z ziemi kwiat,
Ostatni kwiat jesieni,
I rzucił go daleko w świat,
Od słońca zórz do cieni.
Przydrożne słoty, deszcze, mgły,
W swoją go sieć oprzędły,
Uniosły wszystkie marzeń sny
A kwiat rzuciły zwiędły».

Przepisałam wierszyk twój *Dzieciaku*, życząc, abyś się oprzeć umiała złym wichrom i użyła swoich zdolności na pożytek bliźnich, na chwałę Polski.

Ślicznie narysowane twoje pozdrowienie tajemniczy *L. W.* Anioł zdołał moje biurko, karta obecna powiększy zbiór oryginalnych pocztówek.

Pewnie, że bardzo pragnę być ci przyjaciółką *Litwinko z nad Dzitwy*, pragnę pomagać w dobrem, a także rozbudzać w tobie dalej zapał do poezji, bo te, które mi przysyłasz mają wiele wdzięku i myśli podniosłej. Staraj się więc *Litwinko* kochana być coraz pilniejszą w nauce, coraz lepiej rozumieć ból dusz ludzkich, kochać Boga, ojczyznę, rodzinę a gdy nagromadzisz w sercu skarby uczucia a w umyśle skarby wiedzy, to mam nadzieję, tryśnie z nich prawdziwa pieśń na ukrzepienie i radość całego narodu. Jak się sprawia twój uczeń, synek gajowego? czy zawsze podnosi na ciebie swoje wy-

straszone oczęta, czy teraz nie boi się już młodej nauczycielki? Kocham cię za tę pracę *Litwinko!*

Trzeciej dziś młodej poetce przyszło mi pisać odpowiedź. Po *Paskudnym dzieciaku i Litwince z nad Dzitwy Ira* przysłała swoje wierszyki, prosząc o ocenę. Żałuję bardzo kochana *Iro*, że nie mogę przeczytać ich razem z tobą, bo tylko wtedy potrafiłabym ci wskazać ile obok pięknych formą i myślą zwrotek znajduje się rymów słabych, które psują całość. Niemniej całość ta wcale udatna, a pamiętam, że w marcu przysłane mi powiastki, chociaż nie nadawały się jeszcze do druku, miały dużo dobrego humoru i fantazyi, cenne to przymioty, nie zniechęcaj się więc *Iro* kochana, tylko pracuj dalej, zawsze radą służyć ci będzie chętnie

Jaskółka.



Kalendarzyk historyczny.

od 15 do 30 listopada.

- 17—1370. Koronacja Ludwika węgierskiego.
- 18—1655. Oblężenie Częstochowy przez Szwedów.
- 20—1648. Jan Kazimierz obrany królem.
- 23—1527. Bitwa pod Gdańskiem ze Szwedami.
- 24—1795. Zrzeczenie się tronu (abdykacja) Stanisława Augusta.
- 26—1715. Zawiązanie konfederacji Tarnogrodzkiej.
- 27—1561. Inflanty poddają się Polsce.
- 27—1806. Wejście wojska Napoleona do Warszawy.
- 29—1830. Powstanie w Warszawie.
- 30—1735. Dzień urodz. Onufrego Kopczyńskiego,

ŻARCIKI.

Dwuznacznik.

- Chciałbym mieć w zbiorach swoich wypchaną małpę. Czy pan wypycha małpy?
- Owszem, proszę pana.
- Ileby to mogło kosztować?
- To zależy od tego, czy będę wypychał pańską skórę czy moją.

TREŚĆ:

Dzieci poznańskie (wiersz, z ryc.). — Straszne dni w Baku. — O słońcu, przez Wł. Umińskiego (z ryc.). — Z?... (z ryc.), przekład Maryi Znatowiczówny. — Z rozkazem wodza (ryc.). — Dwóch uczonych. — Aulus Marcus, powieść przez Teresę Jadwigę. — Ze świata. — Młodemu przyjaciółkom (wiersz), przez Z. Z. — Skrzynka do listów. — Kalendarzyk historyczny. — Żarciki. **Dodatek:** Stynko, Klarcia i Pedro (z ryc.). — Koledzy z osłej ławy. — Z teki powinszowań, przez Z. Z. — Puszczyk (gra towarzyska). — Zadania i łamigłówki.

Prenumerata „Wieczorów Rodzinnych“ wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1. pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 20 kop. wiersz 1 szp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.

Stynko, Klarcia i Pedro.

Przygoda na morzu.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy Lalcia doszła do klatki, która stała na samym końcu pokładu, poza stosem zwinionych lin, serduszko jej zamarło na chwilę z przerażenia...

Klatka była pusta! W tym kącie pokładu nie było w tej chwili nikogo. Ale gdzie jest Pedro? Serduszko Lalci zaczęło bić gwałtownie. Może... może Pedro wymknął się z klatki i spadł w morze? Kiedy ta straszna myśl powstała w jej główce, z ust wydarł się cichy i bolesny okrzyk... a na ten okrzyk odpowiedział w pobliżu głos skrzeczący przeraźliwie.

Pedro siedział, poruszając nieopierzone mi skrzydłami i skrzecząc, usadowiony wygodnie na żelaznej balustradzie, otaczającej pokład, prawie niewidzialny w ciemności.

Przerażona Lalcia pobiegła go schwytać, ale nie mogła dosięgnąć poręczy. Była tak zasmucona, że nie przyszło jej na myśl zawołać o pomoc... Myślała tylko o tem, żeby pochwycić w rączki śliskie ciało ptaka, lecz chcąc tego dokonać, musiała wejść na balustradę. Udało się jej to, ale w tej że chwili statek przechylił się silnie na bok i ciemność nocy zrobiła się jeszcze czarniejsza dla Lalci.

Rozległo się lekkie pluśnięcie wśród białej piany fal, objających się o boki okrętu — żaloszny krzyk — a potem zapanowała cisza...

IV. Poszukiwania Klarci.

W pół godziny potem, złowróżbna wieść rozeszła się po całym statku.

Stynko czekał cierpliwie na przyjście siostrzyczki, stojąc przy Anieli, rozmawiającej z wielkim zajęciem z jednym z majtków, z którym porozumiewała się za pomocą oderwanych angielskich wyrazów. W ważnych rozmowach Aniela wzywała Stynka jako tłumacza.

Czas upływał, ale Stynko nie gniewał się o to. Nie pilno mu było do dusznej kajuty i gorącego łóżeczka: tu, na pokładzie, było chło-

dniej i przyjemniej, i gwiazdy pięknie świeciły. Ale w końcu Aniela przypomniała sobie, że ma iść ubierać panią po ułożeniu dzieci do snu i ruszyła na poszukiwaniu zabłąkanej zguby.

W pierwszej chwili nikt się nie domyślał, co się stało z dzieckiem.

— Pewnie poszła do pań i siedzi tam, nie-mądra dziewczyna! — mruzczała rozgniewana Aniela.

— Panie jej nie widziały wcale... Ale Lalcia często chodzi do sternika i rozmawia z nim o jego dzieciach — powiedział Stynko.

Głos mu drżał i nagle zimny dreszcz go przebiegł.

— Chodzi na rozmowy ze sternikiem i jego pomocnikami... Bardzo potrzebne dla niej takie towarzystwo! — burczała Aniela, idąc w stronę steru... Ale i tam nikt Lalci nie widział... Znowu zaczęli się zbierać gromadkami, nie obojętność, tylko poprostu zadziwieni.

— Dzieci, a szczególnie cudze dzieci, to wielki kłopot — mówiła zaniepokojona doktorowa.



Klarcia wspina się aby schwycić Pedra.

I nagle, zawołała wskazując na coś w ciemnościach:

— Patrzcie! Ta szkaradna papuga wyknęła się z klatki!

Wszyscy się obejrzelili. Pedro siedział na lustradzie, a pan Trojden posunął się, chcąc złapać i wsadzić do klatki.

— Dobrze, że pani ją spostrzegła — zauważyła jedna z jadących pań. — Dzieci byłyby rozpaczy, gdyby wiedziały... Znaleźliście już arcie? — zapytała nadchodzącą Anielę.

Aniela w towarzystwie Stynka, biegła z poiecchem.

— Nikt jej nie widział u sternika, proszę ni! — wołała z daleka.

Głos Anieli był ochrypły a twarz szarada — za nią pojawił się jeden z urzędników rętowych.

— Kazałem przeszukać cały statek — powiedział, a znać na nim było niepokój.

Jego słowa padły jak iskra na nagromione materyały palne. Okropna trwoga ogarła wszystkie serca — ale nikt nie mógł się obywać choćby na jedno słowo.

— Mówisz, że poszła powiedzieć Pedrowi ranoc? — zwróciła się do Stynka doktorowa, chwytając go za ramię.

— Ta-a-k! Ale to już dawno... Chciała tam — wyjąkał chłopiec.

— Więc skądże wziął się ten ptak na balustradzie? — pytała dalej zatrwożona doktorowa.

Pan Trojden odszedł śpiesznie od rozmawiających...

Wkrótce rozeszła się fatalna wieść. Cały statek przeszukano od góry do dołu i stwierdzono, że Lalcia znikła bez śladu!

— Teraz już można się domyśleć w jaki sposób stało się nieszczęście... Biedactwo pewno nie chciało schwytać ptaka, straciło równowagę, i... Ale jakim sposobem ptak uciekł z klatki?...

Kapitan umilkł posępny, nie skończywszy. Bo widzicie — przyszła mu na myśl jego mała, maleńka córeczka w domu, do której arcia była taka podobna!

Gdy umilkł, podniosła się wrzawa, jak wieży Babel — krzyki, i bezużyteczne rady.

— Na nic się to wszystko nie zdało! — mówili oficerowie parowca, strapieni, potrząsając głowami. Choćbyśmy nawet zawrócili, nie znajdziemy już jej śladu na morzu... Gdyby tylko ktoś widział nieszczęście, w chwili kiedy się stało, wtedy ratunek byłby możliwy... Ale nie teraz!

(d. c. n.)

Koledzy z oślej ławy.

KOMEDYJKA.

OSOBY:

Maryanek, Janinka (jego siostra), *Gucio* (kolega Maryanka), *Wandzia, Jadzia, Karolcia* (siostry Gućia).

Teatr przedstawia pokój. Po lewej stronie w głębi stolik — na przodzie sceny kanapa. — Po prawej biurko — jeden fotel i kilka wyściełanych krzeseł. — W głębi drzwi wchodowe.

SCENA I.

Janinka i Maryanek. Janinka siedzi przy stoliku i pisze — po chwili wchodzi Maryanek i mówi do siebie.

Maryanek (patrzając na Janinkę). No, dzięki Bogu, Janinka pisze; będę mógł sobie spokojnie posiedzieć. (Siada wygodnie na fotelu.) Ona taka zajęta nauką, że na nic nie zwraca uwagi. Pocziwa dziewczyna! — Niechaj się uczy — ja jej przeszkadzać nie będę. (Po chwili.) Ale co do mnie, to nigdy uczonym nie będę. Ja lubię ciszę, spokój, odpoczynek... zamiast czytać, wygodnie siedzieć, a jeszcze lepiej — wygodnie leżeć.

To rzecz dziwna doprawdy, że ja się nigdy wypaść nie mogę — a im więcej śpię, tem więcej chcę mi się spać. Z tego też powodu wszelkie majówki, wycieczki, gry, teatra amatorskie to nie dla mnie! Nie lubię żadnej fatygi!

Janinka. Maryanku, nie wiesz przypadkiem, jak się nazywał pierwszy król polski?

Maryanek (po chwili). Pytasz mnie, czy nie wiem przypadkiem, a ja ci na to odpowiadam..

Janinka (kończąc). Że takie przypadki ci się nie trafiają?

Maryanek. Nie, tylko mi się odpowiadać nie chce.

Janinka. Dziękuję!

Maryanek. Za cóż mi dziękujesz?

Janinka. Za twoją szczerość.

Maryanek. To już taka nasza natura!

Janinka. Jaktó nasza?

Maryanek. Moja i mego kolegi Gućia.

Janinka. Aha... Gućia! Tego przyjemnego Gućia, co to na „oślej“ ławce siedzi?

Maryanek. Mniejsza o to na jakiej — dość, że my z sobą razem siedzimy.

Janinka. Powinszować!

Maryanek. A że obydwu tylko siedzieć lubimy, przeto następujących używamy sposobów:

Janinka. Bardzo jestem ciekawa.

Maryanek. Ile razy pan profesor mnie albo Gućia „wyrwie“, najczęściej odpowiada mi: „Nie jestem dziś przygotowany, panie profesorze“. Naturalnie, pan profesor zaraz dodaje: „Siadaj!“ I my też siadamy. Sposób to bardzo



praktyczny — bo stanie podczas lekcji, to rzecz nieprzyjemna. Żeby pozwalali odpowiadać się, to nieraz zawstydzilibyśmy naszą odpowiedź najlepszych uczniów w klasie.

Janinka. A gdyby pozwolili... leżąc?

Maryanek. Ha!... tobyśmy może i samego profesora zawstydzili.

Janinka. Dlaczegoż tego nie uczynicie, chociażby tylko dla próby?

Maryanek. Dlaczegoż!... Dlatego, że nam się nie chce, a wreszcie i dlatego, że później ciągle by nas mordowali i mybyśmy musieli ciągle wstawać i ciągle odpowiadać. A my sobie wcale tego nie życzymy.

Janinka (z oburzeniem). Fe! brzydkie leniuchy! Macie zdolności — o tem wszyscy wiedzą — a nie chcecie z nich korzystać.

Maryanek. Każdy ma swoje zapatrywanie...

Janinka. Lecz czyż o tem nie wiesz, że lenistwo jest jednym z grzechów głównych?

Maryanek. Wiem. Ale i to wiem, że pycha także jest jednym z grzechów głównych — a nam wcale o to nie idzie, aby mieć stopnie celujące, żeby się nimi pysznić, jak wy się pysznicie — naszym celem jest tylko to, abyśmy mogli, jak to mówią, przeleźć z klasy do klasy.

Janinka. Tak, i martwić tem mamę i ojca.

Maryanek (poprawia się w fotelu i ziewa). Moja kochana Janinko, czego ty chcesz ode mnie? Jeżeli ja ci nie przeszkadzam w pracy, bądź-że i ty łaskawa nie przeszkadzać mi w odpoczynku.

Janinka (z westchnieniem). Masz słuszność Maryanku. (Pisze dalej).

SCENA II.

Ciż i Gucio (wchodzi powoli).

Maryanek. Jak się masz, kolego!

Gucio. Ledwie żyję, tak się zmęczyłem!

Maryanek. Siadajże, siadaj mój drogi.

Gucio. Bardzo chętnie... (Próbuje ręką krzesła, które z nich jest miększe, a wybraawszy jedno, siada przy Maryanku tak, że nie widzi Janinki.)

Janinka (do siebie). Ciekawa będzie rozmowa tych uczonych mężów!

Maryanek. Cóż tam słyhać u ciebie, kolego?

Gucio. Ach, nic dobrego, bo chcąc nie chcąc musiałem wyjść z domu.

Maryanek. A to dlaczego?

Gucio. Wyobraź sobie Maryanku — „Wieczory Rodzinne“ wydrukowały jakąś komedijkę. Nic w tem złego niema — niech sobie drukują — jabym i tak nie czytał — ale dziewczęta prawdziwe gąski, zaraz na łeb na szyję, przepisywać, rozdawać role, grać teatr! Niech grają, cóż to mnie obchodzi. Ale ba! one przychodzą do

mnie i koniecznie błagają, abym przyjął rolę — to jest, abym się jej wyuczył na pamięć.

Janinka (do siebie). Istotnie to prawdziwe gąski, prosić takiego leniucha!

Gucio. Ja się wymawiam, proszę — one ciągle swoje... Nie wiele więc myśląc łap za czapkę i dalejże w nogi.

Janinka (do siebie). Dzielny bohater!

Gucio. Uciekłem z domu, bo gdybym przyrzekł grać, musiałbym raz słowa dotrzymać, choćby mnie to nawet wiele trudu kosztowało.

Janinka (głośno). Przepraszam, że przerywam...

Gucio (odwracając się). A, przepraszam!

Janinka. Czy to była mowa o dziewczynkach w ogóle, czy tylko o tych, co siedzą w „gęsiej“ ławce?

Gucio. W jakiej ławce? w gęsiej? Takich ławek nie ma na całym świecie.

Janinka. A jakież są?

Gucio (zmieszany). Są tylko... tylko... drewniane.

Janinka. Mniejsza więc o ławki. Ja chciałabym wiedzieć o jakich to dziewczynkach była mowa?

Gucio. O takich, co pragną grać teatr i drugih chcą rolami męczyć!

Maryanek. Moja kochana Janinko, próżno nas wyciągasz na kłótnie — ani ja, ani mój kolega nie chcemy się spierać.

Janinka. O kłótni nie myślałam wcale — i odchodzę.

Maryanek. Przyjm więc podziękowanie moje i mego kolegi.

Janinka (kłaniając się z przesadnem uszanowaniem). Podziękowanie tak zacnych kolegów — zajmujących tak wybitne stanowisko w szkole, napełnia me serce rozkoszą. (Wybiega.)

(d. c. n.)

Z teki powinszowań.

Moja droga mateńko,
Serce niosę ci w ofierze,
Dobrze wiem, że to maleńko
Ale, że je przyjmiesz, wierzę,
Moja droga mateńko!

Moje szczęście ty jedyne,
Tożbym same perły siała,
Pod two stopy, pod matczyne,
Alem biedna, alem mała,
Moje szczęście ty jedyne.

Niechno tylko ja urosnę,
To miłością moją wrócę
Szczęścia twego cudną wiosną,
Drogi oczy two rozsmucę,
Niechno tylko ja urosnę.

Z. Z.

Puszczyk.

(Gra towarzyska.)

Każde z dzieci, biorące udział w grze przybiera nazwę jakiegoś ptaka, którego głos potrafi naśladować. Przyczem zawsze ktoś musi być puszczykiem.

Wszyscy bawiący się w tę grę siadają kołem, a w środku staje przewodnik zabawy w roli ptasznika. Opowiada jakąś zmyśloną historię i w treść wplata imiona tych ptaków, które ma zamiar schwytać do swojej ptaszarni.

Wszyscy siedzą z rękami opartymi na kolanach, uważając pilnie, aby w chwili, kiedy ptasznik wymieni nazwę ptaka, uczestnik, noszący jego imię, wydał natychmiast odpowiedni głos.

Tak więc naprzykład:

Puszczyk	winien zawołać	czuch, czuch, czuch!
Wrona	„	krraa, krraa, krraa!
Kukułka	„	kuku, kuku, kuku!
Kogut	„	kukuryku, kukuryku!
Synogarlica	„	cukruu, cukruu!
Kaczka	„	kwa, kwa, kwa!
Gęś	„	gęgęgęgę, gęgęgęgę!
Wróbel	„	ćwir-ćwirik, ćwir-ćwirik!
Przepiórka	„	pódźcie żać, pódźcie żać!
Indyk	„	gulgulgul, gulgulgul!

i t. d.

Kiedy ptasznik w swem opowiadaniu wspomni o ptaszarni, wtedy obowiązkowo muszą się odezwać wszystkie ptaki. Gdy ptasznik wymieni puszczyka, wtedy nietylko powinien się odezwać głos puszczyka, ale wszystkie dzieci zaczynają poruszać rękami jak skrzydłami, niby to uciekając przed puszczykiem.

Ptasznik wtedy usiłuje kogoś z grających schwytać za rękę. Jeżeli mu się to uda, wówczas schwytywany zostaje ptasznikiem, a ptasznik przyjmuje nazwę schwytanego ptaka i siada na jego miejscu.

Gdy ptasznikowi nie uda się schwytać nikogo, to daje fant i dalej ciągnie swoje opowiadanie.

O ile ptasznikowi do trzeciego razu nie uda się schwycić żadnego ptaka, to musi złożyć swoją rolę i na ptasznika musi być wybrany kto inny.

Fanty w tej grze daje się w następujących wypadkach: 1) jeżeli kto, będąc ptasznikiem, żadnego ptaka nie schwyta, 2) jeżeli wymieniony przez ptasznika w czasie gry uczestnik, noszący umówioną nazwę, nie odezwie się natychmiast lub odpowie ze znacznem opóźnieniem, 3) jeżeli zgodnie nie odezwą się

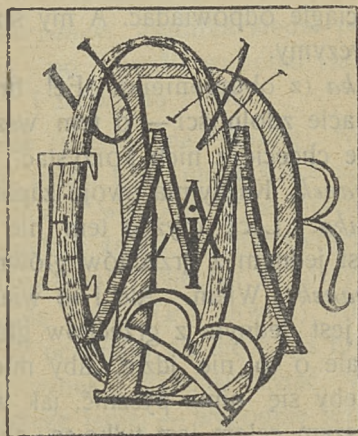
wszyscy, gdy ptasznik wymieni ptaszarnię, 4) jeśli się jest schwytanym.

Po skończeniu zabawy odbywa się sądownie fantów.



Zadania i łamigłówki.

Łamigłówka monogramowa.



Z dziesięciu głosek, składających ten monogram, ułożyć należy *pięć* wyrazów *pięcioliterowych*, którychby środkowe litery czytane w kierunku od góry ku dołowi złożyły imię jednego z cesarzów rzymskich.

Znaczenie wyrazów:

1) Pieniądz drobny, używany dawniej w różnych krajach. 2) Miasto portowe w Niemczech. 3) Miasto na Morawach. 4) Narzędzie rolnicze. 5) Imię żeńskie w piątym przypadku.

Łamigłówka zdaniowa

uł. Nemo.

- 1) Wilanów leży niedaleko Warszawy.
- 2) Jesienią często pada deszcz.
- 3) Jabłko jest smacznym owocem.
- 4) Od źródeł do ujścia Wisły liczy 140 mil.
- 5) Liszka pelza po jabłoni.

Z tych pięciu zdań wybrać należy po wyrazie i ułożyć z tych wyrazów znane przysłowie polskie.

Szarada-rebusowa

uł. Przyszły Medyk.

Nuta wewnątrz samogłoski
Zna najlepiej ją kraj włoski, —
Zwłaszcza koło Wezuwiusza
Wsie zalewa i zaprosza.

Rozwiązania do № 44-go.

Rebusu: Wielka to byłaby już zaleta, gdyby ktoś nie miał żadnej wady.

Szarady: Szkoła Krzemieniecka.

Przeplatanki literowej: Umiej być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.